



<http://jv.gilead.org.il/zydorczak/pays-pl07.htm>



Jules Verne

W KRAINIE BIAŁYCH NIEDŹWIEDZI

Powieść fantastyczna w dwóch częściach

(Rozdział VI-X)

Tłumaczyła Karolina Bobrowska

Ilustracje Férat i Beaurepaire

Nakład Księgarni Św. Wojciecha

Poznań 1925



© Andrzej Zydorczak



CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ VI

Dziesięciodniowa burza.



Następne cztery dni od 17 do 20 sierpnia pogoda była stale piękna, temperatura zaś dość wysoka. Żadna chmurka nie zamąciła czystości nieba. Powietrze dosięgło przejrzystości niebywalej na tej szerokości geograficznej. Nic więc dziwnego, że nowa troska zaległa na czole porucznika.

Tymczasem 21 sierpnia barometr zapowiedział zmianę pogody. Rtęć spadła na kilka milimetrów, nazajutrz podniosła się, poczem znów spadła i dopiero od 23 sierpnia wykazywała stały spadek.

24 sierpnia nagromadzona ilość oparów uniosła się, zamieniając się w chmury, które zasłoniły zupełnie tarczę słoneczną. Nazajutrz zaczął dąć wiatr północno-zachodni przerywany rześistym

deszczem. Temperatura jednak nie uległa widocznej zmianie; termometr wskazywał pięćdziesiąt cztery stopnie Fahrenheit'a (+ 12 Cels.).

Na szczęście wszelkie prace w forcie były ukończone Kadłub statku był gotowy. Polowanie stało się zbędne, gdyż zapasy żywności były dostateczne. Zresztą wobec wzmagającego się wciąż wiatru i coraz większego deszczu zagrody opuścić nie było można.

– I cóż pan powie na tę nagłą niepogodę? – spytała Mrs. Paulina Barnett porucznika, gdy 27 sierpnia nawałnica rozszalała się na dobre. – Czy wróży nam co pomyślnego?

– Nie mogę pani odpowiedzieć na to, – rzekł Jasper Hobson, – w każdym razie wolę tę niepogodę, niż słońce ogrzewające ustawicznie wody oceanu. Przyczem wiatr północno-zachodni dmie z taką siłą, że nie dziwiłbym się, gdyby zbliżył naszą wyspę do lądu amerykańskiego.

– Niestety jednak, – odezwał się sierżant, – nie będziemy mogli śledzić zmiany jej położenia. Chmury zasłaniają słońce, księżyc i gwiazdy. Jakże tu określić położenie wyspy!

– Wszystko to jedno, sierżancie Long, – odpowiedziała mu Mrs. Paulina Barnett, – ręczę wam, że jeżeli ziemia ukaze się, potrafiemy ją dojrzeć i witać radośnie. Przypuszczam, że byłoby to wybrzeże Ameryki rosyjskiej, prawdopodobnie Georgji zachodniej.

– To bardzo możliwe, – dodał porucznik, – gdyż, niestety, w całej tej części morza Północnego niema ani wysepki, ani nawet skały, o którą oprzećbyśmy się mogli!

– A dlaczegoż, – odezwała się Mrs. Paulina Barnett, – nasz wehikuł nie miałby nas zaprowadzić w prostym kierunku do wybrzeży Azji? Czyż pod wpływem prądów morskich nie mógłby przepłynąć przez cieśninę Berynga i wreszcie dostać się do krainy Czukczów?

– Nie, proszę pani, – odpowiedział porucznik Hobson, – lodowiec nasz spotkałby się niechybnie z prądem Kamczatki i wraz z nim podążyłby na północo-wschód, co byłoby bardzo niepożądane. Nie, daleko prawdopodobniejszą rzeczą jest, że idąc z kierunkiem północno-zachodniego wiatru, zbliżymy się do wybrzeży Ameryki rosyjskiej!

– Należy więc pilnie zwracać uwagę, w jakim kierunku płynie wyspa, – odezwała się podróżniczka.

– Nie omieszkamy tego uczynić, – proszę pani, – rzekł Jasper Hobson, – choć gęsta mgła utrudnia nam zadanie. Zresztą wyspa nagle rzucona o wybrzeże, ulegnie silnemu wstrząśnieniu, które nam się da zapewne odczuć. Miejmy nadzieję, że wyspa nie rozleci się wtedy na kawałki. Byłoby to bardzo niebezpieczną rzeczą. Zresztą o ile się to zdarzy, radzić będziemy. Obecnie nie możemy nic przedsięwziąć.

Nie potrzebujemy dodawać, że przy rozmowie reszta załogi nie była obecną. Odbywała się ona w pokoju podróżniczki, którego okno wychodziło na tylną część zagrody. Światło dzienne przedostawało się z trudnością przez zamglone szyby. Ze dworu dochodziły odgłosy szalejącego wiatru, zmagającego się z powodzią deszczu. Na szczęście wyniosłość przyładka Bathurst chroniła siedzibę od bezpośrednich pocisków nawałnicy. Wszelako ziemia i piasek uniesione ze szczytu przyładka, spadały jak grad na dach domu. Mac Nap zatrwożył się znowu o kominy, a szczególnie o

kuchenny. Z wyciem wiatru łączył się łoskot morza, którego spienione fale uderzały z niezwykłą mocą o wybrzeże. Burza przeistaczała się w huragan.

Jasper Hobson, pomimo nawałnicy, udał się 28 sierpnia do przylądka Bathurst, aby zdać sobie sprawę ze stanu morza i wznoszącego się nad nim nieba.



Szczelnie otulony swym płaszczem, dostał się bez wielkiego trudu do podnóża przylądka, ale najtrudniejszą rzeczą było dostać się zboczem prawie prostopadłym na jego szczyt. Porucznik jednak, czepiając się o kępy traw zdołał doń dotrzeć, lecz ustać na nim nie mógł, huragan bowiem miotał nim jak piłką. Trzymając się więc krzaków, położył się na skraju zbocza tak, że głowa tylko była narażona na siłę wiatru.

Jasper Hobson wyteżył wzrok, aby poprzez lejące się potoki deszczu ogarnąć okolicę. Widok oceanu i nieba był straszny. Stanowiły one jedną mglistą masę. Chmury mknęły nisko z zawrotną szybkością, podczas gdy na zenicie opary stały nieruchomo. Chwilami łoskot fal i wycie wiatru ustawały, żeby powrócić z tem większą mocą, wstrząsając podstawą przylądka. Od czasu do czasu deszcz zamieniał się w istny wodospad, który pod wpływem szalejącego wiatru rozpryskiwał się nakształt wodotrysku.

Był to huragan i to huragan pochodzący od najgroźniejszej części morza. Wiatr bowiem północno-wschodni mógł szaleć długo z jednakową siłą. Ale Jasper nie uskarżał się na nawałnicę. On, który w innych okolicznościach byłby przeklinał tę złowrogą burzę, radował się nią w tej chwili. O ile wyspa wytrzyma – co było prawdopodobne – napór nawałnicy, wiatr, silniejszy od prądów morskich, uniesie ją w kierunku południowo-zachodnim, gdzie był ląd stały, gdzie było ocalenie! Tak, dla niego, dla jego towarzyszy, niechby burza trwała jak najdłużej, tak długo, aż doprowadzi ich do jakiego bądź wybrzeża. To co było zgubą dla okrętu, stałoby się zbawieniem dla płynącej wyspy.

Po kwadransie takiego zmagania się z żywiołami, Jasper, zsunąwszy się ze zbocza, powrócił do domu.

Oznajmił on natychmiast swym towarzyszom, że huragan nie dosięgnął jeszcze swej najwyższej mocy i że prawdopodobnie trwać będzie dni kilka. Ale wiadomości tej udzielił z tak dziwnym brzmieniem głosu, i jakgdyby z radością, że zwrócił uwagę obecnych, którzy spoglądali na niego wzrokiem pewnego zdziwienia. Czyżby ich dowódca miał być zadowolony z tej walki żywiołów?

30 sierpnia Jasper Hobson udał się znowu, wprawdzie nie na szczyt przylądka, lecz na skraj wybrzeża. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu spostrzegł na jego urwistym skraju naniesione przez fale nieznane mu trawy.

Trawy te, jeszcze świeże, pochodziły niewątpliwie z lądu amerykańskiego. A zatem ląd ten nie był oddalony! A zatem wyspa, wyswobodzona przez wiatr północno-wschodni od prądów morskich, dążyła w stronę lądu. Krzysztof Kolumb na widok traw płynących, które świadczyły o bliskości ziemi, nie odczuwał tej radości, jaką było przepełnione serce Jasper Hobson'a.

Porucznik, powróciwszy do fortu, podzielił się swym odkryciem z podróżniczką i sierżantem. Był tak dobrej myśli, że narazie chciał wyznać wszystko swym towarzyszom, ale po chwili zastanowienia wiedziony przecuciem zawahał się i zamilkł.

Tymczasem mieszkańcy fortu nie próżnowali. To przygotowywali ścieki do odpływu wód na podwórzu, to znów naprawiali wewnątrz domu. Słowem praca wypełniała im wszystkie dzienne godziny, odwracając uwagę od szalejącej nawałnicy. Ale w nocy zato burza dawała się podwójnie we znaki. O odpoczynku mowy być nie mogło. Deszcz i wiatr wstrząsały domem całym. Zdawało się chwilami, że wir powietrzny uniesie całą siedzibę. Tarcice trzeszczały, belki pękały, grożąc zawaleniem domu. To też cieśla i pomocnicy nie ustawali w czynności.

Jasper Hobson jednak nie zwracał uwagi na dom zagrożony. Całą swą myślą był przy podstawie lodowej, która wobec rozszalałego morza, mogła ulec rozbiciu. Olbrzymi ten lodowiec, zmniejszony powolnym tajaniem, nie mógł długo wytrzymać zmiennego naporu wód oceanu. To też Jasper Hobson z największym niepokojem pytał siebie, czy wyspa dopłynie w całości do wybrzeża, czy też rozpadnie się przedtem na kawałki?

Był on pewien, że dotąd lodowiec był cały. Gdyby bowiem pole lodowe było się rozpadło na części, utworzyłoby ono tyle wysepek, ile było kawałków lodu, mieszkańcy więc fortu Nadziei nie omieszkaliby odczuć kołysania morskiego na tak małej przestrzeni. Tymczasem wyspa wydawała się tak nieruchomą, jak gdyby złączoną była z lądem.

Wyspa więc dotąd nie rozpadła się, lecz lada chwila rozpaść się mogła!

Najżywszą jednak troską Jasper Hobson'a było dowiedzieć się, czy wyspa zbliżyła się do wybrzeża. Tymczasem wobec panujących ciemności wszelkie badanie byłoby bezowocne i należało oczekiwać chwili, aż wyspa zbliży się na tyle do lądu, iż można go będzie spostrzec, co zresztą było możliwe tylko w razie, gdyby porucznik udał się na południe tego niebezpiecznego terytorjum. Dotąd bowiem położenie wyspy nie uległo widocznej zmianie. Przylądek Bathurst był równie zwrócony ku północy jak wtedy, gdy należał do lądu amerykańskiego. Przypuszczać więc należało, że wyspa uderzy o wybrzeże swą stroną południową, mianowicie między przylądkiem Michel i kątem, który dawniej stanowił część zatoki Morsów. Słowem połączenie jej z lądem powinno się być dokonać tą samą stroną, którą nastąpiło oderwanie. Najpilniejszą więc sprawą było udanie się do tej części wyspy dla sprawdzenia, czy znajduje się ona w dawnym stanie.

Porucznik zatem postanowił, nie zważając na burzę, udać się do przylądka Michel wraz z sierżantem Long, nie wyjawiając jednak towarzyszom właściwego celu wyprawy.

Owego to dnia 31 sierpnia o czwartej po południu Jasper Hobson wezwał do siebie sierżanta

Long.

– Sierżancie Long, – rzekł do niego, – musimy niezwłocznie sprawdzić położenie wyspy, lub przynajmniej, czy gwałtowna ta burza nie zbliżyła jej do lądu?

– I ja tak sądzę, – odrzekł sierżant, – a im prędzej, tem lepiej.

– A do tego potrzeba, żebyśmy udali się na południe wyspy.

– Jestem gotów, panie poruczniku.

– Wiem, że jesteś zawsze gotów do spełnienia obowiązku. Ale nie pójdziesz sam. Pójdziemy razem, albowiem w razie, gdybyśmy ziemię dostrzegli, jeden z nas musiałby zawiadomić o tem naszych towarzyszy. Zresztą muszę przekonać się własnymi oczyma... Pójdziemy więc razem.

– Kiedy tylko zechcesz, panie poruczniku, nawet natychmiast, o ile to panu dogadza.

– Wyruszymy o dziewiątej wieczorem, gdy towarzysze nasi spać będą...

– Będzie to najlepiej, gdyż chcieliby iść z nami, – odpowiedział sierżant, – a nie powinni wiedzieć, dlaczego się oddaliśmy od faktorji.

– Nie powinni wiedzieć, – rzekł Jasper Hobson, – i jak najdłużej nie będę ich niepokoił wyjawieniem strasznego naszego położenia.

– Więc o dziewiątej, panie poruczniku.

– Weźmiesz z sobą krzesiwo i hubkę. W razie potrzeby, gdyby naprzykład na południu ukazała się nam ziemia, ułatwi to nam porozumienie.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Wyprawa nasza będzie ciężka.

– Będzie ciężka, w istocie, ale mniejsza o to, – rzekł sierżant, i dodał – a nasza podróżniczka, panie poruczniku?

– Nie będę jej wspominał o naszej wyprawie, gdyż zechce nam towarzyszyć.

– Byłoby to niepodobieństwem, – rzekł sierżant. – Kobieta nie podołałaby takiej nawałnicy. Niech pan patrzy, co się dzieje w tej chwili!

W istocie, dom cały drżał w swych posadach pod wpływem strasznego huraganu.

– Nie! – rzekł Jasper Hobson, – dzielna ta kobieta nie może nam towarzyszyć, lecz zdaje mi się, że będę musiał ją powiadomić o naszej wyprawie, gdyby bowiem nieszczęście przytrafiło się nam w drodze...

– Tak, panie poruczniku, tak! – rzekł sierżant Long. – Nie trzeba przed nią nic ukrywać, a w razie, gdybyśmy nie mieli powrócić...

– A zatem, o dziewiątej, sierżancie.

– O dziewiątej!

Sierżant, skłoniwszy się po wojskowemu, odszedł, porucznik zaś udał się do Mrs. Pauliny Barnett z zawiadomieniem o swej nowej wyprawie. Jak przewidywał, podróżniczka chciała mu towarzyszyć. Jasper Hobson nie starał się przekonywać jej opowiadaniem o niebezpieczeństwach, na jakie się mogła narażać, biorąc udział w wycieczce dokonywanej w tak wyjątkowych okolicznościach, zadowolili się tylko twierdzeniem, że jej bytność w forcie jest potrzebna podczas jego nieobecności i że od tej obecności, zależy jego własny spokój. Gdyby bowiem przytrafiło się jakie nieszczęście, byłby spokojny, że dzielna podróżniczka zastąpi go przy towarzyszach.



Mrs. Paulina Barnett nie nalegała więcej. Błagała wszakże porucznika, żeby nie narażał się nadmiernie, żeby nie zapominał, iż jest dowódcą faktorji i że życie jego należy do wszystkich i jest dla wszystkich potrzebne. Porucznik obiecał, że zastosuje się do jej życzenia, o ile to było możliwe w tych warunkach, ale wyruszyć na obejrzenie południowej strony wyspy musi niezwłocznie. Nazajutrz Mrs. Paulina Barnett oświadczyła towarzyszom, że porucznik i sierżant wyruszyli na ostatnie przed zimą wywiady.



ROZDZIAŁ VII

Ogień i krzyk.



asper Hobson i sierżant Long spędzili cały wieczór w wielkiej sali fortu Nadziei. Znajdowali się w niej wszyscy mieszkańcy z wyjątkiem astronoma, który, zagniewany na świat cały, zamurował się był w swej celi. Mężczyźni czyścili broń, lub naprawiali narzędzia. Mrs. Mac Nap, Raë i Joliffe i Madge zajęte były igłą, Mrs. Paulina Barnett zaś czytała na głos. Czytanie to przerywane było jednak często nie tylko przeraźliwym odgłosem nawałnicy, lecz i krzykiem dziecka. Napróżno kapral Joliffe starał się je zabawić, nie szczędząc swych kolan, zamienionych w ręce rumaki. Wreszcie zmęczony, posadził je na dużym stole, gdzie, nakrzyczawszy się dowoli, usnęło niebawem.

O ósmej, po odmówieniu wspólnej modlitwy i zgaszeniu światła, mieszkańcy fortu udali się na spoczynek.

Nie wszyscy jednakże. Gdy cisza zaległa w domu, Jasper Hobson i sierżant Long przemknęli w milczeniu przez wielką salę, dążąc do korytarza. Spotkali się tu z Mrs. Pauliną Barnett, która chciała się z nimi pożegnać.

– Do jutra, – rzekła do porucznika.

– Do jutra, – odpowiedział Jasper Hobson, – tak... do jutra... niechybnie...

– A jeżeli się pan spóźni?

– To niech się pani nie niepokoi, – rzekł porucznik, – ponieważ zbadawszy okolicę wśród tej ciemnej nocy i ujrzawszy światło – co mogłoby się zdarzyć, gdyby wyspa nasza zbliżyła się do Nowej Georgji, – mam zamiar zbadać okolicę również za dnia, a to badanie przeciągnąć się może do dwudziestu czterech godzin. Jeżeli jednak zdołamy dotrzeć do przylądka Michel przed północą, powrócimy do fortu jutro wieczorem. Niech więc się pani nie niepokoi i niech pani wierzy, że będziemy ostrożni.

– A jeżeli panowie nie wrócą jutro, pojutrze, za dwa dni?...

– To znaczy, że nie powrócimy wcale! – odpowiedział Jasper Hobson spokojnie.

Otworzono drzwi. Po oddaleniu się porucznika i sierżanta Mrs. Paulina Barnett z trwogą w sercu powróciła do swego pokoju.

Jasper Hobson i sierżant Long, podtrzymując się wzajemnie i opierając się na okutych żelazem drągach, minęli wśród nawałnicy podwórze, poczem skierowali się ku drodze ciągnącej się między pagórkami i wybrzeżem jeziora.

Szarawe światło zmroku rzucało słaby odbłysek na ziemię. Niebo było zupełnie ciemne. Nów księżycy powiększał grozę nocy, na szczęście krótkiej. Ślad drogi jednak był widoczny.

Deszcz i wiatr szły w zawody. Porucznik Hobson i jego towarzysz, w butach i obcisłych płaszczach nieprzemakalnych, zakapturzeni, szli prędko, gdyż wiatr, dmący z tyłu, popychał ich z taką gwałtownością, że często nadążyć nie mogli. Ogłuszeni hałasem burzy, zdyszani, nie próbowali nawet mówić do siebie

Porucznik wybrał najkrótszą drogę. Droga wzdłuż wybrzeża nie tylko że była z powodu licznych zakrętów najdłuższą, lecz narażała wędrowców na bezpośrednie działanie huraganu od strony morza. Jasper Hobson miał zamiar iść w prostym kierunku od przylądka Bathurst do przylądka Michel i w tym celu zaopatrzył się w busolę. Ponieważ zaś w tym kierunku do przylądka Michel było tylko dziesięć do jedenastu mil, przypuszczał, że dojdzie do kresu podróży właśnie wtedy, gdy całkowita noc zapadnie.

Tak więc wędrowcy, schyleni pod naporem wiatru, z głowami w ramionach, opierając się na swych drągach szli dość prędko. Dopóki trzymali się wschodniego wybrzeża jeziora, wiatr był jeszcze znośny, całą bowiem swą moc zostawiał w lesistej ścianie pagórków, a moc ta była tak wielka, że groziła pniom i korzeniom drzew. Deszcz nawet dochodził do wędrowców rozdrobniony zaporą, którą spotykał na swej drodze. To też minęli oni cztery mile w lepszych warunkach, niż przypuszczali.

Pomyślnie okoliczności miały się jednak skończyć niebawem. Doszedłszy do południowego krańca pagórków, ujrzeli przed sobą równą płaszczyznę ogołoconą z drzew, po której wiatr od morza dął z całą, niepodzielną siłą. Do przylądka Michel mieli sześć mil przed sobą.

– Ciężka droga nas czeka! – zawołał porucznik, nachyliwszy się nad sierżantem.

– Tak, – odezwał się sierżant, – wiatr i deszcz smagać nas będą jednocześnie.

– Obawiam się, że, od czasu do czasu, grad się do nich przyłączy, – dodał porucznik.

– W każdym razie będzie on mniej zabójczy, od kul! – odparł filozoficznie sierżant. – A przecież, panie poruczniku, nieraz wystawieni byliśmy na nie! Idźmy więc naprzód!

– Tak, naprzód, dzielny żołnierzu!

Była wtedy dziesiąta godzina. Ostatnie odbłyśki zmroku znikwały, jak gdyby zalane deszczem lub gaszone wiatrem. Porucznik, korzystając z resztek światła, zapalił krzesiwo i spojrzał na busolę, poczem, otuliwszy się szczelnie, obaj ruszyli odważnie w przestrzeń odkrytą.

W pierwszej chwili zostali oni gwałtownie rzućni na ziemię, lecz zerwali się natychmiast i podpierając się wzajemnie, skurczeni, jak dwaj starszycy, przyśpieszyli kroku, biegnąc od czasu do czasu.

Groza tej burzy miała swoje piękno! Wielkie strzępy chmur, istne łachmany utkane z powietrza i wody, przewalały się po ziemi. Piasek i ziemia latały nakształt pocisków! Ze smaku soli, która osiadała na wargach wędrowców, domyślali się oni, że rozpylona woda morska z odległości dwu do trzech mil, dochodziła do nich.

Korzystając z chwilowego uciszenia się żywiołów, wędrowcy zatrzymywali się, aby zaczerpnąć tchu. Porucznik wtedy patrzył na swą busolę, poczem ruszali dalej.

Z nadejściem nocy burza zdawała się wzmacniać jeszcze bardziej. Powietrze i woda zwały się z sobą, tworząc zawrotne wiry, które przewracają budynki, wyrrywają drzewa z ziemi, a z którymi okręty walczą pociskami z dział. Zdawało się, że ocean ze swego łożyska uniósł się i miał cały zawisnąć nad płynącą wyspą.

Jasper Hobson nie mógł zrozumieć, jakim sposobem pole lodowe mogło wytrzymać ten napór żywiołów, jakim sposobem nie roztrzaskało się na kawałki! Kołysanie morza było tak potężne, że jego odgłos dochodził do ich uszu. Niebawem sierżant Long, który szedł przed porucznikiem, zatrzymał się nagle; poczem zbliżywszy się do niego – rzekł przerywanym głosem:



– Nie tędy!

– Dlaczego?

– Morze!

– Jakto! morze? Przecież nie doszliśmy do zachodnio-południowego wybrzeża?

– Niech pan spojrzy, panie poruczniku.

W istocie, rozległa przestrzeń wody widniała w cieniu, odbijając się falą u stóp porucznika.

Jasper Hobson wziął krzesiwo i zapaliwszy hubkę spojrział uważnie na busolę.

– Nie, – rzekł, – morze jest bardziej na lewo, nie przeszliśmy jeszcze lasu, który nas dzieli od przylądka Michel.

– Więc cóż to jest?

– Jest to pęknięcie wyspy, – odpowiedział Jasper Hobson, który zarówno jak sierżant musiał położyć się, aby stawić czoło nawałnicy. – Albo część wyspy oderwała się zupełnie i płynie woddali, albo też jest to szczelina, którą ominąć będziemy mogli. Chodźmy.

Jasper Hobson i sierżant Long, zerwawszy się, skierowali się na prawo ku środkowi wyspy, idąc wzdłuż płaszczyzny wodnej około dziesięciu minut. Nagle odgłos fal ustał.

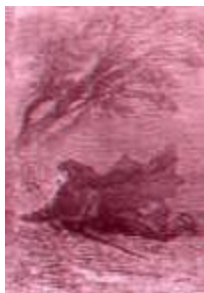
– Jest to tylko szczelina, – rzekł porucznik Hobson. – Zawróćmy!

Powrócili więc do dawnego południowego kierunku, wiedząc, że narażają się na największe niebezpieczeństwo, jako że część wyspy Victoria, na której się znajdowali, odgradzona szczeliną od reszty wyspy, mogła oderwać się zupełnie i unieść ich z sobą. Lecz nie zawahali się ani chwili i nie zastanowili się wcale, że może droga powrotna będzie dla nich zamknięta.

Jasper Hobson myślał tylko o jednym. Czy wyspa wytrwa do zimy? Czy nie jest to początek jej rozpadu? Jeżeli wiatr nie zapędzi jej na wybrzeże, czy nie jest skazana na szybką zagładę? Co za straszna perspektywa dla mieszkańców tego pola lodowego!

Tymczasem burza szalała, a dwaj wędrowcy szli dzielnie naprzód. Doszli w ten sposób do krańca rozległego lasu, graniczącego z przylądkiem Michel. Należało go przejść, aby dostać się jak najprędzej do wybrzeża. Nie zastanawiając się wcale, dwaj wędrowcy zagłębili się w las wśród najzupełniejszego mroku, wśród ogłuszającego świstu wiatru. Dokoła rozległ się suchy trzask. Gałęzie biły ich po twarzy. Byli narażeni co chwila na zmiżdżenie padającym drzewem, lub uderzenie gałęzi złamanych, których dostrzec nie mogli. Ale przynajmniej wiedzieli, gdzie się znajdują, a wycie morza kierowało ich krokami! Słyszeli odgłos olbrzymich bałwanów rozpryskujących się z hałasem, a nawet kilkakrotnie odczuli wstrząśnienie gruntu. Wreszcie, trzymając się za ręce, aby nie zbłądzić, doszli do przeciwległego krańca lasu.

Lecz tu nagle huragan ich rozłączył, rzucając na ziemię.



– Sierzancie! sierzancie! gdzie jesteś? – zawołał Jasper Hobson z całych sił.

– Obecny, panie poruczniku! – krzyknął sierżant Long.

Poczem obaj, pełznąc, starali się zbliżyć do siebie. Lecz jak gdyby przytrzymani potężną ręką, nie mogli ruszyć się z miejsca. Wreszcie po nadludzkich wysiłkach, znalazłszy się razem, przywiązali się pasem dla uniknięcia ponownego rozłączenia; następnie dostali się do małej wyniosłości, na której rosło kilka jodeł. Wykopawszy odpowiedni rów, położyli się w nim, wyczerpani zupełnie.

Było pół do dwunastej.

Upłynęło kilka minut, zanim przemówić byli zdolni. Leżeli z przymkniętymi oczyma, nie mogąc się poruszyć. Nieprzewyciężony bezwład zaczął ich ogarniać, podczas gdy wiatr potrząsał nad nimi gałęzie jodeł, które trzeszczały, jak kości szkieletów. Opanowawszy jednak sen, i wzmocniwszy się

kilku łykami wódki, oprzytomnieli.

– Gdybyż przynajmniej te drzewa wytrzymały, – rzekł porucznik.

– I gdybyż ten rów z niemi nie poleciał! – dodał sierżant, opierając się o piasek ruchomy.

– Ale, skoro tu jesteśmy, – odezwał się porucznik, – o kilka kroków od przylądka Michel, i skoro przyszedliśmy tu, aby się przyglądać, przyglądajmy się. Przeczucie mi mówi, że jesteśmy niedaleko lądu, może to jednak tylko przecucie!

Z miejsca, w którym się znajdowali porucznik i sierżant, mogliby byli ogarnąć dwie trzecie południowego horyzontu, gdyby ten horyzont był widzialny. Lecz mrok był zupełny i o ileby nie zauważyli jakiego ognia, byli zmuszeni czekać do wschodu słońca, aby móc się przekonać, czy nie znajdują się w pobliżu jakiego wybrzeża.

Otóż – jak to porucznik powiedział Mrs. Paulinie Barnett, – rybołówstwo jest dość rozpowszechnione w części Ameryki północnej, nazwanej Georgją. Na tem wybrzeżu tubylcy zajmują się również zbieraniem zębów mamutów, które się tu spotyka w wielkiej ilości, jako pozostałość tych wielkich zwierząt przedpotopowych. O kilka stopni poniżej wznosi się Nowy-Archangelsk, główna siedziba Zarządu, rozciągającego się na cały obszar wysp Aleuckich i stolica Ameryki rosyjskiej. Ponieważ myśliwi odwiedzają dość często tę część Ameryki, szczególnie od czasu gdy Towarzystwo Zatoki Hudsonskiej wydzierżawiło terytorja myśliwskie Ameryki rosyjskiej, więc Jasper Hobson, nie znając samego kraju, był dokładnie poinformowany o działalności agentów w tej porze roku, przypuszczał przeto, że spotka na wybrzeżu ziomków, nawet kolegów, w braku zaś tychże, oddział Indjan koczujących w tych stronach.

Czy jednak Jasper Hobson miał prawo sądzić, że wyspa Victoria znajduje się w pobliżu Nowej-Georgji?

– Tak, po stokroć tak! – powtarzał sierżantowi. – Siedem dni upływa, jak wiatr północno-wschodni dmie z całą siłą. Wiem, że wyspa, bardzo płaska, nie daje mu należytego punktu oparcia, w każdym razie jednak nie pozbawiona jest pagórków i lasów, które służyć jej mogą za rodzaj żagli. Oprócz tego, morze, uderzając silną falą o wybrzeże, musi wpływać na kierunek wyspy. Niepodobna więc, ażebyśmy nie opuścili prądu zachodniego i nie dążyli na południe. Siedem dni temu byliśmy o dwieście mil od ziemi, obecnie zaś...

– Dowodzenia pana porucznika są zupełnie słuszne, – odparł sierżant Long. – Zresztą obok tych sprzyjających okoliczności, mamy jeszcze pomoc Bożą, gdyż wierzę mocno, że Bóg nie pragnie zagłady tylu nieszczęśliwych ludzi, w Nim też pokładam całą moją nadzieję!

Tego rodzaju rozmowę prowadzili Jasper Hobson i sierżant Long, podczas gdy burza wciąż szalała i ciemności ogarniały ich zewsząd.

Około pół do drugiej huragan uspokoił się na chwilę. Tylko wzburzone morze nie mogło powstrzymać swego poryku. Fale z niesłychaną gwałtownością uderzały jedno o drugie.

Nagle Jasper Hobson, schwyciwszy za ramię towarzysza, zawołał:

– Sierżancie, słyszysz?

– Co?

– Odgłos morza.

– Słyszą, – odrzekł sierżant, – a nawet od kilku chwil zdaje mi się, że odgłos fal...

– Nie jest ten sam... nieprawdaż sierżancie... słuchaj... słuchaj.. odgłos ten przypomina uderzenie fali o skałę!

Jasper Hobson i sierżant Long wsłuchując się uważnie w odgłosy żywiołu, coraz bardziej przychodzili do przekonania, że nie jest to odgłos fal swobodnie ścierających się z sobą, lecz donośne wstrząśnienia pienistych bałwanów, walczących z nieprzepartą mocą skał, których echo rozlegało się dookoła. Otóż na wyspie nie było ani jednej skały, ani jednego urwistego wybrzeża.

Nie byłoż to tylko złudzenie? Sierżant chciał się podnieść, aby lepiej rozróżnić rodzaj odgłosu, lecz w tejże chwili huragan powalił go na ziemię. Burza powróciła z całą gwałtownością, a wraz z nią świst wiatru zagłuszył osobliwy poryk morza.

Niepokój ogarnął towarzyszy. Co począć? Czy nie należało opuścić rowu wobec usuwającego się z pod ich stóp piasku, wobec trzaskających korzeni drzew? Nie przestawali jednak wpatrywać się w południową stronę horyzontu. Życie ich zawisło na tem spojrzeniu.

Nagle, o pół do trzeciej z rana, sierżant zawołał:

– Widziałem!

– Co?

– Ogień!

– Ogień?

– Tak... oto tam... w tym kierunku!

Przy tych słowach sierżant wskazał na południo-zachód. Czyżby się omylił? Nie, gdyż Jasper Hobson również spostrzegł bladawe światło.

– Tak! – zawołał, – tak sierżancie, ogień! ziemia jest tam!

– O ile nie jest to światło okrętu! – zauważył sierżant.

– Okręt na morzu podczas takiej burzy! – zawołał Jasper Hobson, – to niepodobne! Nie, nie, to ziemia, ziemia o kilka mil od nas!

– A więc, dajmy znać o sobie!

– Tak, sierżancie, na światło z lądu stałego odpowiedzmy światłem wyspy!

Pochodni nie mieli pod ręką, lecz nad nimi wznosiły się jodły żywiczne.

– Oto krzesiwo, sierżancie, – rzekł Jasper Hobson.

Sierżant potarł krzesiwo i zapalił hubkę, poczem przypelznął do kępy drzew. Suchych gałęzi nie brakowało. Uczyniwszy z nich stos podpalił go, a ogień rozprzestrzeniwszy się przy pomocy wiatru, zajął całą kępę drzew.



– Ach! – zawołał Jasper Hobson, – skoro my zobaczyliśmy ogień, oni również widzieć go muszą!

Jodły paliły się bladym płomieniem, którego ulatniające się sadze przypominały odbłask pochodni. Żywica trzeszczała w starych pniach, paląc się szybko, tak, że wkrótce z kępy drzew zostało spopielone ognisko.

Jasper Hobson i sierżant wypatrywali bacznie nowego światła...

Ale napróżno. Około dziesięciu minut stali nieruchomi z nadzieją w sercu. Światełko znikło niepowrotnie. Natomiast uszu ich doleciał niespodziewanie rozpaczliwy krzyk od strony morza!

Jasper Hobson i sierżant zerwali się i dobiegli do wybrzeża...

Krzyk nie powtórzył się więcej.

Tymczasem zorza ukazała się na horyzoncie. Burza jakby ucichła na widok wschodzącego słońca! Wkrótce na rozświetlonym nieboskłonie porucznik i sierżant ujrzeni obszar morski ze zlewającym się z nim przestworem niebieskim... ziemi nie było ani



ROZDZIAŁ VIII



asper Hobson i sierżant Long błędzili cały ranek po wybrzeżu. Pogoda uległa znacznej zmianie. Deszcz przestał prawie padać, wiatr zaś, zmieniwszy nagle kierunek, zaczął dąć z niezwykle gwałtownością. Okoliczność ta rozwiała wszelkie nadzieje porucznika. Wiatr bowiem, południowo-wschodni, nie zbliżał, a oddalał wyspę od wybrzeża, oddając ją na pastwę niebezpiecznych prądów oceanu Północnego.

Któż jednak mógłby zaręczyć, iż wyspa zbliżyła się ku wybrzeżu? Nie byłoby to tylko przypuszczenie porucznika Hobson'a? Czyż na horyzoncie widniejącym na przestrzeni kilku mil nie ukazałby się bodaj zarys ziemi? Czyż nie pewniejsze było twierdzenie sierżanta, że ogień pochodził z przechodzącego mimo okrętu i że krzyk był wołaniem tonącego marynarza i że okręt zatonął wśród burzy?

Tak czy inaczej śladów okrętu nie dostrzegli. Na oceanie wzburzonym obecnie wiatrem dmącym od strony lądu wznosiły się tak olbrzymie bałwany, że żaden okręt nie byłby im się oparł!

– Trudno, panie poruczniku, – odezwał się sierżant, – niema na to rady!

– Musimy, sierżancie, – odrzekł Jasper Hobson wodząc ręką po czole, – musimy zostać na naszej wyspie, oczekując zimy! Zima tylko może nas ocalić!

Było południe. Jasper Hobson, chcąc przed wieczorem dotrzeć do fortu Nadziei, wyruszył natychmiast w drogę. Sierżant i on popychani wiatrem, szli krokiem przyśpieszonym, myśląc z niepokojem o szczelinie, która powiększywszy się, mogła rozdzielić wyspę na dwie części.

Dotarli oni w krótkim czasie do lasu, przez który przechodzili wczoraj. Większa część drzew leżała na ziemi; niektóre z nich były wyrwane z korzeniami, inne, o pniach złamanych, огоłocone z liści wyglądały jak szkielety, klekocące pod wpływem wiatru.

Po przebyciu zniszczonego lasu i dwu mil drogi dostali się do szczeliny, którą teraz dopiero obejrzeć mogli uważnie.

Szczelina ta, szerokości pięćdziesięciu stóp, przecinała wybrzeże na pół drogi do przylądka Michel i dawnego portu Barnett, tworząc rodzaj przystani, ciągnącej się przeszło półtorej mili w głąb wyspy.

Porucznik Hobson, zbliżywszy się do wybrzeża, spostrzegł kawał lodu płynący od wyspy ku morzu.

– W tem tkwi niebezpieczeństwo! – szepnął sierzant Long, poczem obaj zawrócili szybko na zachód, dążąc ku faktorji.

Po drodze nie zauważyli żadnej zmiany. O czwartej byli już wśród swych towarzyszy, których zastali przy zwykłych zajęciach.

Jasper Hobson powiedział im, że chciał, przed zimą, sprawdzić, czy nie natrafi na jakikolwiek ślad z obiecanej przez kapitana Craventy wyprawy, lecz że poszukiwania skończyły się na niczem.

– Zdaje mi się, panie poruczniku, – rzekł Marbre, – przynajmniej w tym roku musimy się pożegnać z myślą ujrzenia naszych towarzyszy z fortu Reliance?

– I mnie się to zdaje, Marbre, – odpowiedział spokojnie Jasper Hobson.

Mrs. Paulina Barnett i Madge dowiedziały się od porucznika o ukazaniu się ognia i usłyszeniu krzyku, których obaj byli zupełnie pewni. Poczem wszyscy czworo orzekli po długim namyśle, że ogień i krzyk pochodziły z tonącego okrętu, jak również, że wyspa nie zbliżyła się bynajmniej do lądu amerykańskiego.

Tymczasem pod wpływem południowo-wschodniego wiatru chmury rozeszły się szybko i opary nie zaciemniały horyzontu. Jasper Hobson przypuszczał, że nazajutrz będzie mógł określić położenie wyspy.

Istotnie! Nazajutrz 2 września słońce ukazało się w całym swym blasku. Porucznik dowiedział się o dwunastej, że wyspa znajduje się pod $70^{\circ}57'$ szerokości geograficznej, około drugiej zaś, po obliczeniu kąta godzinowego, że długość jej geograficzna wynosi $170^{\circ}30'$.

Tak więc, pomimo gwałtownej burzy wyspa pozostała prawie na tej samej szerokości, natomiast prąd unosił ją w dalszym ciągu na zachód. W tej chwili znajdowała się ona w okolicy cieśniny Berynga, ale o czterysta mil na północ od przylądka Wschodniego i od przylądka Księcia Walji, które tworzą najwęższą część cieśniny.

Położenie to było groźne. Wyspa zbliżała się coraz bardziej do niebezpiecznego prądu Kamczatki, który mógł ją łatwo unieść na północ. Oczywiście los jej rozstrzygnie się wkrótce. Bowiem, albo unieruchomi się pod wpływem dwu przeciwnych prądów, oczekując zamarznięcia morza, albo też uniesiona zostanie do stron skrajnej północy.

Jasper Hobson, niezwykle przygnębiony, udał się do swego pokoju, którego nie opuszczał dzień cały, nie chcąc zdradzić swego niepokoju. Z mapą w ręku przemyślał on nad sposobami wyjścia z tego trudnego położenia.

Temperatura spadła o kilka stopni tego samego dnia, a opary, które nad wieczorem ukazały się na południo-wschodzie, w nocy zamieniwszy się w śnieg, pokryły dwucalową warstwą ziemię. Zima zbliżała się wreszcie.

3 września Mrs. Paulina Barnett, nie opowiedziawszy się nikomu, w towarzystwie swej wiernej Madge, wyruszyła o ósmej rano na dłuższą wycieczkę do tej części wybrzeża, które ciągnęło się od przylądka Bathurst do przylądka Eskimos. Chciała się ona przekonać, czy burza nie pozostawiła na niej swych śladów. Oczywiście porucznik Hobson byłby z chęcią jej towarzyszył, ale nie chciała

odrywać go od zajęć. Niebezpieczeństwo zaś żadne grozić jej nie mogło, gdyż niedźwiedzi polarnych od czasu ostatniego trzęsienia ziemi nie było widać wcale. Mogła więc spokojnie odbyć wycieczkę, która zresztą nie miała trwać dłużej nad kilka godzin.

Tak więc uzbrojone w prosty nóż od śniegu, z tykwą i sakwą w rękę, Mrs. Paulina Barnett i Madge, minawszy zбочe przylądka Bathurst, skierowały się ku zachodniej części wyspy.

Słońce zataczało leniwie swój krąg na niebie, wznosząc się zaledwie na kilka stopni nad horyzontem. Ukośne jednak jego promienie były jasne, przenikliwe, tak że pod ich wpływem warstwa śnieżna tajała miejscami.

Różne gatunki ptaków, a między nimi gęsi dzikie i kaczki, fruując stadami i przesywając powietrze swym krzykiem, ożywiały wybrzeże.

Zwierzęta o cennych futrach w wielkiej liczbie błądziły po równinie i futra ich mogły z łatwością zapełnić składy faktorji, gdyby opłacało się na nie polować. Nieszkodliwe te zwierzęta, czując się bezpieczne, podchodziły do samej zagrody i oswajały się coraz bardziej. Instykt ich przeczuwał, że są więźniami narówni z mieszkańcami fortu, wspólny więc los ich łączył. Dziwna w tem wszystkim rzeczą było to, co zauważyła szczególnie Mrs. Paulina Barnett, że Marbre i Sabine, ci zajadli myśliwi, nie kwapili się wcale na tę cenną zdobycz. Wprawdzie zwierzęta nie miały na sobie swej szaty zimowej, co zmniejszało znacznie ich wartość, lecz powód ten nie tłumaczył osobliwej obojętności myśliwych.

Dwie podróżniczki, zabawiając się rozmową, nie przestawały śledzić baczenie piaszczystego wybrzeża. Znać było na niem skutki burzy. Gdzie niegdzie widniały nowe nasypy lub świeże szczeliny, a wybrzeże obniżyło się tak znacznie, że fale sięgały tam, gdzie do niedawna spotykały nieprzepartą barjerę. Widoczne było, że wyspa miejscami opadła do poziomu oceanu.

– Czy wiesz, Madge, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, pokazując towarzysze zalane falami wybrzeże, – że położenie nasze znacznie się pogorszyło wskutek ostatniej burzy. Nie ulega wątpliwości, że poziom wyspy się obniża! Ocalenie nasze zależy obecnie wyłącznie od czasu, a raczej od nadejścia zimy.

– Nadejdzie, nadejdzie, moja córko, – odparła Madge z niezachwianą ufnością. – Śnieg już pada, więc tam w górze zaczyna być zimno, i wierzę, że Pan Bóg nam go zsyła.

– Słusznie mówisz, Madge, należy mieć nadzieję. My kobiety, nie zastanawiając się nad fizycznymi przyczynami zjawisk, powinnyśmy krzepić się w wypadkach, gdzie uczeni mężczyźni oddawaliby się może rozpacz. Jest to wielka łaska. Nasz porucznik, niestety, sądzi inaczej. Roztrząsa, oblicza, mierzy i traci już prawie nadzieję!

– A przecież to człowiek energiczny, odważny, – odezwała się Madge.

– Tak, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, – i ocali nas, jeżeli to będzie leżało w ludzkiej mocy.

O dziewiątej podróżniczki były o cztery mile od fortu. Niejednokrotnie musiały cofać się w głąb wyspy, aby okrążyć wybrzeże zalane falami sięgającymi nieraz na pół mili. Świadczyło to, że pole lodowe się usuwa w tych miejscach i że zniknąwszy zupełnie, może spowodować szczeliny, które

przysporzą wyspie nowych przystani.

W miarę jak się oddalały od fortu, liczba zwierząt zmniejszała się znacznie. Widocznie zwierzęta czuły się bezpieczniejsze w obecności człowieka, którego do niedawna obawiały się tak bardzo, i garnęły się chętnie do okolic faktorji. Co zaś do dzikich zwierząt, tych musiało być niewiele. Mrs. Paulina Barnett i Madge bowiem spostrzegły tylko kilka wilków błądzących po równinie, które znikły niebawem za pagórkami jeziorka.

– Co poczną te zwierzęta, Madge, jak my uwięzione, skoro z nadejściem zimy zabraknie im pożywienia?

– Zabraknie im pożywienia! co mówisz, Madge, – rzekła Mrs. Paulina Barnett! – Nie potrzebujemy obawiać się ich wcale. Gronostaje, kuny, lisy dostarczą im obfitego żeru. Niebezpieczeństwo nie od nich nam grozi, ale od tego ruchomego gruntu, który lada chwila może się zawalić pod nami! Patrz, jak morze wrzyna się głęboko w tem miejscu! Jeżeli posunie się jeszcze dalej, złączy się ono z jeziorkiem, a wtedy stracimy je, jak straciliśmy port i rzekę.

– Gdyby się to stało, – rzekła Madge, – byłoby to niepowetowane nieszczęście.

– A to dlaczego? – spytała Mrs. Paulina Barnett, patrząc na towarzyszkę.

– Dlatego, że pozbawieni byłibyśmy całkowicie wody słodkiej! – rzekła Madge.

– Wody słodkiej nie zbraknie nam, Madge, Deszcz, śnieg, lód, lodowce oceanu, grunt sam wyspy, wszystko to woda słodka. Nie w tem tkwi niebezpieczeństwo!

Około dziewiątej Mrs. Paulina Barnett i Madge dotarły do wysokości przylądka Eskimos, lecz na dwie mile co najmniej w głąb wyspy, gdyż wybrzeżem iść nie było podobnem z powodu licznych szczelin. Obie kobiety, zmęczone tą przydługą przechadzką, udały się do małego lasku brzoźowego, rosnącego na niewielkim pagórku pokrytym mchem żółtawym.

Usiadłszy tam pod kępą drzew, pożywiły się skromnymi zapasami.

Po półgodzinnym odpoczynku Mrs. Paulina Barnett zaproponowała Madge, aby zanim powrócą do faktorji, udały się do wybrzeża przyjrzeć się, jak obecnie wygląda przylądek Eskimos. Madge zgodziła się chętnie, nie omieszkała jednak przypomnieć „swej córce”, że osiem do dziewięciu mil dzieli je od fortu Nadziei, że porucznik Hobson niepokoić się może.

Mrs. Paulina Barnett, jak gdyby wiedziona przeczuciem, nie zmieniła swego postanowienia. Zresztą droga ta nie miała im zająć więcej nad pół godziny czasu.

Nie uszły jednak ćwierć mili, gdy Mrs. Paulina Barnett, zatrzymawszy się nagle, wskazała swej towarzyszce ślady wyraźnie zarysowujące się na śniegu. Ślady te musiały być świeże, gdyż śnieg, który spadł w nocy, byłby je przyprószył.

– Jakież to zwierzę mogło tedy przechodzić? – spytała Madge.

– Nie są to ślady zwierzęce, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, schyliwszy się, aby się im lepiej przyjrzeć. – Przypatrz się, Madge, wszak są to ślady ludzkie?

– Któżby tu przyjść mógł? Ani żołnierz, ani żadna z kobiet nie oddalili się z fortu... A ponieważ jesteśmy na wyspie, musiałaś się omylić, moja córko. Zresztą idźmy temi śladami, zobaczymy, gdzie nas doprowadzą.

Mrs. Paulina Barnett i Madge poszły istotnie w tym kierunku.

Uszedłszy pięćdziesiąt kroków, zatrzymały się nagle.



– Patrz, Madge, – rzekła Mrs. Paulina Barnett – i powiedz, czy się myliłam.

Obok miejsca, na którym leżało widocznie w śniegu jakieś ciało, widniał ślad ręki.

– Ślad ręki kobiety lub dziecka! – zawołała Madge.

– Tak, – rzekła Mrs. Paulina Barnett, dziecko czy kobieta, ktoś wyczerpany, zmęczony upadł tutaj. Poczem biedne to stworzenie wstało i szło dalej. Patrz... znów ślady... i znów upadek ciała...

– Ale któż to być mógł? Kto? – pytała Madge.

– Nie wiem, – rzekła Mrs. Paulina Barnett. – Może jakiś nieszczęśliwy uwięziony tak jak my na wyspie od trzech lub czterech miesięcy? Może jaki rozbitek, ofiara ostatniej burzy?... Przypomnij sobie o tym ogniu, o tym krzyku, o których wspominał nam porucznik i sierżant Long... Chodź, Madge, może jaki nieszczęśliwy oczekuje od nas pomocy!...

Przy tych słowach Mrs. Paulina Barnett, pociągnąwszy z sobą towarzyszkę, pobiegła w kierunku śladów. Niebawem dojrzała na nich kilka kropli krwi.

Dzielna kobieta biegła na pomoc nieszczęśliwemu, zapominając, że na tej wyspie pogrążającej się w wodach oceanu nie było ocalenia ani dla bliźnich, ani dla niej!

Ślady szły w stronę przylądka Eskimos. Wkrótce jednak znikły, pozostały tylko krwawe plamy, coraz częściej ukazujące się na śniegu i nierówna ścieżka, rysująca się na nim.

– Śpieszmy się, śpieszmy, – powtarzała Mrs. Paulina Barnett z bijącym sercem.

Do przylądka było zaledwie pięćset kroków.

Wystawał on ponad morze, odbijając od tła nieba. Na przylądku jednak nie było nikogo.

Ślady wszelako prowadziły prosto do przylądka, skąd dopiero zwracały na prawo kierując się ku morzu.

Mrs. Paulina Barnett rzuciła się w tym kierunku, lecz w chwili gdy miała stanąć na wybrzeżu, Madge powstrzymała ją ruchem ręki.

– Stój! – rzekła.

– Nie, Madge, nie! – zawołała Mrs. Paulina, wiedzona nieprzepartym instynktem.

– Zatrzymaj się, moja córko, i spójrz! – rzekła Madge, wstrzymując energicznie towarzyszkę.

W odległości pięćdziesięciu kroków od przylądka Eskimos, na samym skraju wybrzeża, poruszała się wielka biała masa, porykując donośnie.

Był to olbrzymi niedźwiedź polarny. Obie kobiety przyglądały mu się trwożnie. Zwierzę krążyło około jakiegoś futra rozciągniętego na śniegu, poczem, uniósłszy je, rzuciło natychmiast węższac. Futro to przypominało ciało nieżywego morsa.

Mrs. Paulina Barnett i Madge stały bezradne, nie wiedząc, czy mają się zbliżyć, gdy na skutek nowego podrzucenia ciała, rodzaj kaptura zsunął się z głowy, ukazując rozwiane włosy czarne.

– Kobieta! – zawołała Mrs. Paulina Barnett, która biegnąć chciała na pomoc nieszczęśliwej.



– Zatrzymaj się, zatrzymaj, – rzekła Madge, – nie wyrządzi jej nic złego.

Niedźwiedź, w istocie, przypatrywał się z zajęciem ciała, obracał je, lecz nie szarpał pazurami. Oddalił się, poczem wrócił, jak gdyby wahając się, co uczynić. Nie spostrzegł bynajmniej obu zatrwożonych kobiet!

Nagle dał się słyszeć trzask, a po nim nastąpiło lekkie wstrząśnienie. Zdawało się, jakby przylądek Eskimos pogrążał się cały w morzu...

Olbrzymia część lodowej podstawy, straciwszy wskutek zmiany ciężaru gatunkowego swą równowagę, wraz z warstwą ziemi i piasku znajdującą się na niej, oderwała się od wyspy, unosząc z

sobą zwierzę i ciało kobiety!

Mrs. Paulina Barnett krzyknęła, biegnąc na ratunek nieszczęśliwej, którą lada chwila porwać miał prąd nieubłagany.

– Zatrzymaj się, zatrzymaj, córko! – powtarzała Madge, obejmując kurczowo Mrs. Paulinę Barnett.

W tej chwili niedźwiedź, przestraszony traskiem lodowca i pozostawiwszy ciało, rzucił się ze strasznym rykiem ku wybrzeżu, a okrążywszy odrywającą się część wyspy, zaczął rwać ziemię pazurami, wyrzucając w powietrze śnieg i piasek, poczem powrócił do odrętwiałego ciała i w oczach osłupiałych kobiet, schwyciwszy swą paszczą ciało, pobiegł ku krańcowi lodowca, znajdującego się naprzeciwko wyspy i rzucił się w morze.

Niedźwiedź, płynąc dzielnie, dotarł w przeciągu kilku chwil do wybrzeża wyspy, uczyniwszy zaś potężny skok, znalazł się na ziemi, na której złożył porwane ciało.

Wtedy Mrs. Paulina Barnett, nie mogąc się powstrzymać pomimo grożącego jej niebezpieczeństwa, wyrwała się z rąk Madge i rzuciła się ku wybrzeżu.

Niedźwiedź spostrzegł biegnącą kobietę. Stanąwszy na tylnych łapach, zmierzał wprost na nią. Ale o dziesięć kroków zatrzymał się, potrząsnął olbrzymią głową, poczem, jak gdyby pod wpływem trwogi, obrócił się, ryknął przeciągle i poszedł w stronę wyspy, nie obejrzawszy się nawet.

Mrs. Paulina Barnett podbiegła natychmiast do rozciągniętego na śniegu ciała.

– Madge! Madge! – zawołała rozpaczliwie.

Madge zbliżyła się.



Było to ciało młodej Eskimoski Kalumah!



ROZDZIAŁ IX

Przygody Kalumah.



alumah na pływającej wyspie, o dwieście mil od lądu amerykańskiego!

Mrs. Paulina Barnett nie zastanawiała się nad tem narazie. Cała jej uwaga skupiona była na tem niepokojącym pytaniu, czy młoda Eskimoska żyje, czy oddycha? Serce, aczkolwiek słabo, biło jeszcze; rana na ręce, choć krwawa, nie była niebezpieczna.

Podczas gdy Madge opatrywała skrwawioną rękę, Mrs. Paulina Barnett, uniósłszy głowę zemdlonej, wlewała w jej ściśnięte wargi po kropli wódki, poczem zmoczyła czoło i skronie zimną wodą.

Upłynęło kilka minut. Ani Mrs. Paulina Barnett, ani Madge nie przerywały milczenia, oczekując z trwogą, co dalej nastąpi.

Czuły obydwie, że życie zemdlonej jest tak słabe, jak nić pajęcza. Powoli jednak oddech stawał się głębszy, wreszcie westchnienie wydobyło się z piersi młodej Eskimoski, i ręce poruszały się słabo. Nie otwierając oczu, szepnęła:



– Mistress Paulina, mistress Paulina!

Na te słowa podróżniczka osłupiała. Czyżby Kalumah skierowała się była umyślnie ku wyspie, wiedząc, że na niej spotka Europejkę, która okazała się dla niej tak łaskawą? Ale skąd mogła wiedzieć, że na tej to wyspie znajduje się Mrs. Paulina Barnett i jej towarzysze, jakże mogła przebyć te olbrzymią przestrzeń wodną? Było to wszystko zagadką.

– Żyje! żyć będzie! – rzekła Madge, wyczuwając pod ręką powracające ciepło i szybszy obieg krwi w tem biednym, wyczerpanem ciele.

– Biedne dziecko! – szepnęła Mrs. Paulina Barnett. – W chwili śmierci wymawiała moje nazwisko!

Ale Kalumah nie umarła. Powieki zwolna podnosząc, spojrzała wzrokiem błędnym dokoła. Nagle wzrok ten zajaśniał. Ujrzała na chwilę, na krótką tylko chwilę swoją dobrą panią, ale więcej nie było jej potrzeba. Powtórzyła raz jeszcze to drogie dla niej nazwisko i ręka jej spoczęła w dłoni podróżniczki.

Po usilnych staraniach dwu dzielnych tych kobiet młoda Eskimoska przyszła do siebie. Wyczerpanie jej spowodowane było przede wszystkim głodem, gdyż nie miała nic w ustach od czterdziestu ośmiu godzin, to też nieco mięsa i wódki przyszły bardzo w porę i po godzinnym odpoczynku Kalumah mogła wyruszyć w drogę.

Nie! młoda Eskimoska nie zapomniała swych Europejczyków z fortu Nadziei! Nie zapomniała Mrs. Pauliny Barnett, której obraz tkwił na zawsze w jej sercu i pamięci! Nie! nie przypadek to zaprowadził ją nawpół żywą na wyspę Victoria.

Siedząc na piasku między Mrs. Paulina Barnett i Madge, dziękowała im gorąco za pomoc i w kilku słowach opowiedziała swe dzieje.

Jak wiadomo młoda Eskimoska obiecała swym znajomym z fortu Nadziei, że powróci do nich w porze letniej. W maju opuściła wybrzeże Nowej-Georgji, gdzie przebywała z jednym ze swoich szwagrów, dążąc do półwyspu Victoria.

Po sześciotygodniowej podróży dotarła do terytorium Nowej Brytanji sąsiadującym z przylądkiem Bathurst. Poznawszy góry wulkaniczne, znajdujące się w pobliżu zatoki Liverpool, skierowała się w tę stronę, i przebywszy dwadzieścia mil, dotarła do zatoki Morsów.

Ale poza zatoką na północ nie znalazła nic! Wybrzeże szło linią prostą ku południo-wschodowi. Znikł przylądek Eskimos, znikł przylądek Bathurst!

Kalumah zrozumiała, co się stało! Albo wyspa Victoria pogrążyła się w otchłaniach oceanu, albo też popłynęła z prądem.

Kalumah zapłakała gorzko.

Szwagier jej jednak nie zdziwił się wcale, zastawszy taką zmianę. Legenda rozpowszechniona u plemion koczujących Ameryki Północnej głosiła, że przylądek Bathurst złączony od wieków ze stałym lądem, nie stanowił zwartej z nim części i że prędzej czy później oderwie się od niego

niechybnie. Dla tego to ogarnęło Eskimosów zdumienie na widok faktorji zbudowanej przez porucznika Hobson u podnóża przylądka Bathurst! Ale z tą opłakaną ostrożnością, cechująca ich rasę, a może też pod wpływem uczucia ogarniającego każdego tubylca na widok cudzoziemca przywłaszczającego sobie ich kraj, Eskimosi powstrzymali się od uwag, tem bardziej, że faktorja była wtedy dziełem dokonaniem. Kalumah nie znała tej legendy, jednej z licznych zresztą tradycyj, nie mających za sobą potwierdzenia historycznego, nie mogła też uprzedzić mieszkańców fortu o grożącym im niebezpieczeństwie.

Nieodżałowana to szkoda, gdyż Jasper Hobson, znalazłszy potwierdzenie swych przypuszczeń, byłby niezawodnie pomyślał o trwalszym gruncie dla swej faktorji.

Kalumah, nie zastawszy przylądka Bathurst, podążyła dalej do zatoki Washburn, ale i tam nie natrafiła na ślady swych przyjaciół. Z bólem w sercu więc opuściła zatokę Morsów w końcu czerwca wraz ze szwagrem; w końcu zaś lipca zawitali oni do Nowej-Georgji. Nie przypuszczała Kalumah, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy Mrs. Paulinę Barnett i jej towarzyszy, sądząc, że pochłonęły ich fale oceanu.

Przy tych słowach młoda Eskimoska zwróciła zażawione oczy na Mrs. Paulinę Barnett, a ująwszy jej rękę, uścisnęła gorąco. Poczem, szepcząc modlitwę, dziękowała swemu Bogu za łaskę ocalenia przez umiłowaną przyjaciółkę.

Kalumah, wróciwszy do swej rodziny, spędzała czas na zwykłych zatrudnieniach, to jest zajmowała się wraz z braćmi rybołówstwem w pobliżu przylądka Lodowego, znajdującego się na siedemdziesiątym równoleżniku, w odległości przeszło sześciuset mil od przylądka Bathurst.

W pierwszej połowie sierpnia nie zaszło nic osobliwego. W końcu zaś tegoż miesiąca zaczęła szaleć straszna burza, która wstrząsnęła nieszczęsną wyspą, a która nawiedziła całe wybrzeże morza Polarnego aż poza cieśninę Berynga. Na przylądku Lodowym gwałtowność jej nie była mniejsza, niż na wyspie Victoria. W tym to czasie wyspa znajdowała się przeszło o dwieście mil od wybrzeża, jak twierdził porucznik Hobson.

Słuchając opowiadania Kalumah, Mrs. Paulina Barnett porównywała w swym umyśle pewne fakty, które wyświectliły jej wreszcie przybycie na wyspę młodej Eskimoski.

Podczas pierwszych dni trwania burzy Eskimosi nie opuszczali swoich szałasów, nie mogli bowiem ani wychodzić, ani tem mniej zająć się połowem. W nocy z 31 sierpnia na 1 września jednak Kalumah, pod wpływem nieokreślonego przeczucia, wyszła pomimo nawałnicy na wybrzeże, wpatrując się z niepokojem we wzburzone fale morza, wyglądające w mroku jak łańcuch górski.

Nagle, po północy, zdawało jej się, że dostrzega olbrzymią masę płynącą w kierunku wiatru równoległe do wybrzeża. Wzrok jej, niezmiernie przenikliwy, jak zresztą u wszystkich koczujących tubylców, przyzwyczajony do długiego mroku zimowego, nie mógł się mylić. Zobaczyła więc tę olbrzymią masę, która nie mogła być ani wielorybem, ani okrętem, a nawet polem lodowem o tej porze roku.

Zresztą Kalumah nie zastanawiała się. W jej umyśle błysło jakby objawienie. Ukazały jej się postacie towarzyszy z fortu Nadziei. Wszyscy oni przesuwali się w jej wyobraźni. Mrs. Paulina Barnett, Madge, porucznik Hobson, maleństwo, które okrywała pocałunkami! Tak, to oni tam płyną na

tym lodowcu ruchomym!

Kalumah nie zawahała się ani chwilę. Powiedziała sobie, że musi dać znać rozbitkom, że ziemia jest od nich niedaleko. Pobieгла do szałas, zabrała jedną z pochodni, utworzonych z kłaków i żywicy, a które Eskimosi używają do połowów nocnych, zapaliła ją, i podążwszy na szczyt przylądka Lodowego, zaczęła nią powiewać.

Był to ten sam ogień, który spostrzegli Jasper Hobson i sierżant Long owej nocy 31 sierpnia na przylądku Michel.

Jakąż radością zadrgało jej serce, gdy na znak przez nią dany, odpowiedziano również znakiem, tą jodłową pochodnią, której ciemne błyski sięgały aż do wybrzeża amerykańskiego!

Lecz wkrótce wszystko zgasło. Chwilowa cisza ustąpiła miejsca gwałtownemu południowo-wschodniemu wiatrowi.

Kalumah zrozumiała, że „jej zdobycz” – tak ją nazywała – że jej zdobycz wymknie się jej, że nie zawita do brzegu. Widziała i czuła, że wyspa oddala się wśród ciemności na pełne morze.

Młoda Eskimoska przeżyła chwilę straszną. Powiedziała sobie, że musi ich uprzedzić, że może nie jest za późno, że każda godzina stracona oddali ich od stałego lądu...

Nie zawahała się ani chwilę. Kajak był przy niej. Wsiadła do wątej łodzi, opasała swój pasek skórą foki przytwierdzoną do kajaku i z wiosłem w ręku puściła się na fale, na los szczęścia.

Przy tych jej słowach Mrs. Paulina Barnett objawszy młodą dzielną Eskimoskę, przycisnęła ją gorąco do serca. Madge zaś słuchając jej opowiadania, płakała.



Kalumah płynęła po wzburzonych falach w stronę wyspy. Zmiana kierunku wiatru była dla niej okolicznością sprzyjającą. Fale zlewały co chwila wątlą łódź, ale były bezsilne wobec lekkiego kajaku, który unosił się jak słomka na grzbiecie fali. Kilkakrotnie łódka przewracała się pod jej naciskiem, lecz jedno uderzenie wiosła wystarczyło, aby płynęła dalej.

Po godzinnym wysiłku Kalumah znalazła się o ćwierć mili od wyspy.

W owej to chwili wydała krzyk, który doszedł uszu Jasper Hobson'a i sierżanta Long!

Jednocześnie wszakże prąd ją uniósł w kierunku zachodnim, przez co oddaliła się od wyspy. Napróżno walczyć chciała przeciw niemu. Prąd unosił wąż łódkę jak strzałę. Wołania Kalumah ginęły w odległości. O świcie wybrzeże Nowej-Georgji i kształt wyspy tworzyły już tylko dwie niewyraźne masy na horyzoncie.

Dzielna Eskimoska nie rozpaczała. Do lądu amerykańskiego powrócić nie mogła, gdyż wiatr stawiał jej opór, ten sam wiatr, który, oddalając wyspę od wybrzeża, unosił ją równocześnie w tym samym kierunku.

Kalumah miała tylko jedno wyjście: dostać się do wyspy tym samym prądem, który unosił mieszkańców fortu Nadziei!

Lecz niestety! siły opuściły biedną dziewczynę. Głód upomniał się o swe prawa. Wyczerpanie ubezwładniło wiosło w jej rękach.

Pomimo to walczyła jeszcze z falą godzin kilka w nadziei, że zbliży się do wyspy. Walczyła z nią, pomimo że zakrwawione ręce odmawiały jej posłuszeństwa! Walczyła do chwili, w której straciła przytomność, a wąż kajak, pozbawiony steru, stał się igraszką fal!

Co się z nią stało potem? Ile czasu błądziła po wzburzonym morzu? Nie wiedziała. Odczuła tylko silne uderzenie o ląd i rozbitcie kajaku. Gdy się ocknęła, leżała na piaszczystym wybrzeżu. Świt właśnie rozpraszał ciemność nocy. Było około trzeciej z rana.

Od chwili, gdy Kalumah wsiadła do swej wężej łódki, upłynęło zatem siedemdziesiąt godzin.

Młoda Eskimoska nie wiedziała, czy fale wyrzuciły ją na wybrzeże, czy też na upragnioną wyspę! Sądząc jednak z kierunku wiatru, przypuszczała, że znajduje się raczej na wyspie.

Myśl ta dodała jej otuchy. Zerwała się i, wyczerpana, podążyła wzdłuż wybrzeża.

Zrządzeniem Opatrzności dostała się do części wyspy Victoria, tworzącej północny kraniec zatoki Morsów. Ale z powodu zaszłych zmian w zarysie wyspy, mogła poznać wybrzeża.

Kalumah szła, dopóki jej sił starczyło, to padając, to zrywając się i w ten sposób, trzymając się krętego wybrzeża, dotarła do okolicy lasu, w którym tegoż rana odpoczywała Mrs. Paulina Barnett i Madge.

Od tej chwili sił jej zabrakło do dalszej drogi. Posuwała się tylko, pełzając. W ten sposób dotarła do przylądka Eskimos. Na jego widok serce Eskimoski zadrgało radośnie! Wiedziała, że tylko osiem mil dzieli ją od faktorji, pamiętała dobrze drogę, która prowadziła do fortu Nadziei!

Tak! myśl ta podtrzymywała ją. Lecz nie na długo. Padła zemdlona i gdyby nie Mrs. Paulina Barnett, już nie żyłaby w tej chwili.

– Wiedziałam, – rzekła – że pani przyjdzie mi z pomocą i że Bóg ocali mnie przez panią!

Mrs. Paulina Barnett opowiedziała młodej swej przyjaciółce, jak wiedzona instynktem, wybrała się na zwiedzenie wybrzeża, jak również wiedzona przecuciem skierowała się ku przylądkowi Eskimos, aczkolwiek przez to opóźnić miała swój powrót do faktorji. Nie omieszkała także

opowiedzieć, młodej Eskimosce, w jakich okolicznościach nastąpiło oderwanie się lodowca i jaką rolę odegrał niedźwiedź w jej ocaleniu.

– Nie ja ocaliłam ciebie, moje dziecko, – dodała Mrs. Paulina Barnett, – lecz to zacne zwierzę. Gdyby nie ono, nie byłabyś w tej chwili z nami, to też, skoro się zjawi, obejdziemy się z niem, jak z twoim zbawcą!

Po tych słowach Mrs. Paulina Barnett dała hasło odwrotu. Młoda Eskimoska, wypoczęta i pokrzepiona mogła wyruszyć w drogę.

Mrs. Paulina Barnett chciała jak najprędzej powiadomić Jasper Hobson'a o wypadkach tego rana, jak również o tem, co zaszło w tej pamiętnej nocy, gdy wyspa zbliżyła się do wybrzeża.

Przedewszystkiem jednak podróżniczka zaleciła Kalumah zachowanie tajemnicy. Bytność swą na wyspie miała wytłumaczyć w ten sposób, że, obiecawszy odwiedzić swych przyjaciół w porze letniej, przybyła do nich płynąc wzdłuż wybrzeża. Zjawienie się jej było nawet bardzo pomyślną rzeczą, gdyż upewni mieszkańców fortu, o ile niektórzy z nich wątpićby mogli, że żadna zmiana nie zaszła na przylądku Bathurst.

O trzeciej, Kalumah, wsparta na ramieniu Mrs. Pauliny Barnett i Madge, skierowała się ku wschodniej stronie wyspy, gdzie był położony fort, dokąd przybyły przed piątą.



ROZDZIAŁ X

Prąd Kameczatki.





łatwością wyobrazić sobie można, jak serdecznie była witana młoda Eskimoska przez mieszkańców fortu Nadziei. Była ona jakby łącznikiem między nimi a resztą świata. Kobiety obejmowały ją i całowały; ona zaś ujrawszy maleństwo, nie mogła się niem nacieszyć.

Młoda Eskimoska była niezmiernie wzruszona tem przyjęciem. Każdy rad był okazać jej swą życzliwość, wszyscy zaś z radością dowiedzieli się, że ma zamiar przepędzić z nimi zimę, gdyż spóźniona pora nie pozwalała jej powrócić do Nowej-Georgji.

Jeżeli jednak mieszkańcy fortu byli mile zdziwieni na widok młodej Eskimoski, to jakże zdziwił się Jasper Hobson, gdy zjawiała się Kalumah wsparta na ramieniu Mrs. Pauliny Barnett. Nie chciał wierzyć swym oczom. Nagle błysła mu myśl – tak krótka, jak światło błyskawicy – że wyspa Victoria dopłynęła do stałego lądu.

Mrs. Paulina Barnett, wyczytawszy tę myśl w jego oczach, wstrząsnęła przecząco głową.

Niecierpliwie więc czekał Jasper Hobson na rozwiązanie zagadki, która niebawem została mu odkryta.

Przechadzając się z Mrs. Paulina Barnett u podnóża przylądka Bathurst, Jasper Hobson słuchał z niezwykłym przejęciem opowiadania o przygodach Kalumah.

Tak więc wszystkie jego przypuszczenia sprawdziły się! Podczas burzy wiatr północno-wschodni oddalił wyspę od prądu, który ją unosił. Pamiętnej owej nocy lodowiec zbliżył się do stałego lądu na milę! Nie było to światło okrętu, nie był to krzyk rozbitka, które zwróciły uwagę dwu wędrowców! Ziemia była tuż przy nich i gdyby wiatr był o godzinę później zmienił kierunek, wyspa Victoria uderzyłaby o wybrzeże Ameryki rosyjskiej.

Tymczasem się inaczej. Wiatr południowo-wschodni odepchnął wyspę od wybrzeża, oddając ją na pastwę dawnego prądu, który unosząc ją z sobą, doprowadził do zbiegu dwu prądów, to jest do miejsca, gdzie ulegając jednemu z dwu przeciwnych wpływów, wyspa byłaby narażona na niechybną zgubę!

Po tych smutnych wnioskach porucznik spytał Mrs. Pauliny Barnett, czy zmiany na przestrzeni wybrzeża od przylądka Bathurst do zatoki Morsów były znaczne.

Podróżniczka opowiedziała mu o obniżeniu się poziomowi wybrzeża, o falach zalewających je na znaczną odległość, a przede wszystkim zwróciła jego uwagę na oderwanie się części wyspy w tej stronie.

W istocie wypadek ten był groźny. To co się stało z przylądkiem Eskimos, zdarzyć się mogło z przylądkiem Bathurst, widoczną bowiem rzeczą było, że podstawa lodowa taje powoli pod wpływem cieplejszego prądu. Domy faktorji mogły lada chwila pograżyć się w otchłani, a na to nie było innej rady jak nadejście zimy i to zimy ostrej!

Nazajutrz, 4 września, Jasper Hobson stwierdził, że położenie wyspy nie uległo prawie zmianie, to jest, że pozostaje nieruchomo między dwoma prądami przeciwnymi. Była to okoliczność bardzo

sprzyjająca, to też porucznik mówił do Mrs. Pauliny Barnett:

– Gdyby zima obecnie nadeszła, a tem samym morze zamarzło, bylibyśmy ocaleni. Jesteśmy obecnie oddaleni od lądu mniej niż o dwieście mil, więc moglibyśmy dostać się przez pola lodowe czy do Ameryki rosyjskiej, czy do Azji.

Tymczasem w faktorji stosownie do zlecenia porucznika, prace zimowe nie ustawały. Zajmowano się obecnie składaniem paszy dla zwierząt na długi przeciąg czasu nocy polarnej. Psy, nie mając nic do roboty, wyglądały doskonale, lecz zasługiwały w pełni na ten odpoczynek, jako że niedługo może czekać je miał trud nielada, gdy mieszkańcy fortu, opuszczając wyspę, wyruszą polem lodowem ku stałemu ladowi. Karmiono je też obficie, darząc mięsem zabitych w okolicy przyładka reniferów.

Zadomowionym reniferom zato nie brakowało niczego. Oborę miały dostatnią, a znaczny zapas mchów zapewniał im smaczne pożywienie na zimę. Odpłacały się też gospodarzom obfitością mleka, które Mrs. Joliffe zużytkowywała do przypraw kuchennych.

Kapral i jego małżonka nie omieszkali uprawić gruntu dla zasiania szczawiu, łyżczycy i herbaty labradorskiej które wyhodowali z takim powodzeniem przeszłego lata.

Drzewo w składach sięgało do szczytów. Nie obawiano się już obecnie ostrej zimy. Gdy rtęć zamarźnie w termometrze, nie trzeba będzie palić w piecu porąbanemi sprzętami. Mac Nap i jego pomocnicy dostarczyli paliwa poddostatkiem.

Porucznik Hobson zarządził polowanie na zwierzęta o cennych futrach, nie chcąc sprzeciwiać się żołnierzom, aby nie wzbudzić podejrzeń swym zakazem. Wiedział jednak dobrze, że bezowocne było to tępienie zwierząt zarówno nieszkodliwych, jak cennych. Wszelako mięso ich zużytkowano na karm dla psów, przez co zaoszczędzono mięsa reniferów, z którego zrobiono odpowiedni użytek.

Słowem, żołnierze pracowali z nieustającym zapalem. Nie odnosiliby się tak gorliwie do swej pracy, gdyby wiedzieli, jakie niespodzianki gotuje im przyszłość.



Jasper Hobson sprawdzał codziennie, czy położenie wyspy nie uległo zmianie. Wyspa jednak stała na miejscu, tak, że w poruczniku zaczęła się budzić nadzieja, tem bardziej, że pomimo cieplej temperatury, termometr bowiem wskazywał czterdzieści dziewięć Fahrenheita (+ 9 Cels.), łabędzie i inne ptaki odlatywały do cieplejszych krajów. Wiedziały one, że ląd azjatycki, czy ląd amerykański, są niedaleko i że dofrunąć do nich będą mogły. Niektóre z tych ptaków zdołano pojmać dla

zawieszenia im na szyi ceratowej kartki, na której wypisano położenie wyspy i nazwiska mieszkańców. Poczem puszczono je na swobodę, przypatrując się z zazdrością, gdy pofrunęły na południe.

Nie potrzebujemy dodawać, że czynności tej dokonano w ściśle zaufanym kółku.

Co do czworonożnych zwierząt wyspy, były one skazane na zimowanie na niej. Opuszczały zwykle okolice przylądka Bathurst w pierwszych dniach września, udając się w stronę jeziora Wielkiego Niedźwiedzia, lub jeziora Niewolniczego, poniżej koła Polarnego. Lecz obecnie, gdy morze stanęło im na przeszkodzie, musiały czekać, aż lodowa jego powłoka pozwoli im przedostać się na ląd stały. Zapewne zwierzęta te musiały w swoim czasie podążyć zwykłą drogą na południe, wiedzione jednak instynktem powróciły do okolic fortu Nadziei, do ludzi, uwięzionych jak oni, a będących dotąd ich największymi wrogami.

Do 10 września położenie wyspy było to samo. Gdybyż jeszcze parę tygodni takiego status quo, a porucznik Hobson mógł być pewny ocalenia swych towarzyszy.

Niestety! ich niedola miała być narażona jeszcze na ciężkie chwile!

W istocie, 10 września porucznik stwierdził nieznaczne poruszenie wyspy w kierunku północnym.



Jasper Hobson osłupiał! Wyspę porwał prąd Kamczatki, unosząc ją w stronę zwałów lodowych, do tych stron pustynnych, gdzie ręka ludzka nie sięga, skąd się nie powraca więcej!

Porucznik podzielił się tą smutną wiadomością z przyjaciółmi. Nowe to zrządzenie losu przyjęli oni ze spokojem i rezygnacją.

– Kto wie, może wyspa zatrzyma się znowu! może płynąć będzie zwolna! Ufajmy... i czekajmy! Zima nadchodzi, a zresztą płyniemy ku niej. Niech się stanie wola Boża!

– Jak sądzicie, drodzy przyjaciele, mam li wyznać prawdę naszym towarzyszom? Położenie jest tak groźne, że ukrywać je przed nimi jest to wziąć na siebie odpowiedzialność bardzo ciężką.

– Co do mnie, zaczekałabym jeszcze – odezwała się bez wahania Mrs. Paulina Barnett. – Dopóki wszystko nie jest jeszcze stracone, nie narażałabym ich na niechybną rozpacz.

– Ja również jestem tego zdania, – dodał spokojnie sierżant Long.

Jasper Hobson myślał to samo, rad więc był, że potwierdzono jego zapatrywanie.

11 i 12 września kierunek wyspy zaznaczył się jeszcze wyraźniej. Płynęła ona z szybkością dwunastu do trzynastu mil dziennie, to jest zakreślała tę samą drogę, co prąd Kamczatki. Wkrótce minie siedemdziesiąty równoleżnik, na którym ongi znajdował się kraniec przyładka Bathurst, a poza którym nie było już wcale ziemi w tej części okolic podbiegunowych.

Jasper Hobson sprawdzał codziennie położenie wyspy na mapie i mógł przekonać się, do jakich otchłani zdąża. Jedyłą nadzieją, jak mówiła Mrs. Paulina Barnett, było to, że wyspa płynęła ku zimie, to jest ku lodom skrajnej północy, które utrwalały jej podstawę. Ale z drugiej strony jakże powrócą z tej dalekiej podróży i czy wogóle powrócić będą mogli? Ach! gdybyż statek był gotowy, porucznik nie zawahałby się jednej chwili wsiąść nań z towarzyszami, lecz, pomimo całej pilności Mac Nap'a, statek nie mógł być prędko skończony, ponieważ Mac Nap musiał usilnie baczyć, aby okręt, który miał przewieźć dwadzieścia osób i to na morzach tak niebezpiecznych, odpowiedział swemu zadaniu.

16 września wyspa Victoria znajdowała się na siedemdziesiąt do osiemdziesięciu mil na północ od miejsca, gdzie stała unieruchomiona, między dwoma prądami Kamczatki i Berynga. Tegoż dnia śnieg zaczął padać, chwilami nawet gęstymi płatami. Termometr spadł. Temperatura średnia podczas dnia wynosiła czterdzieści cztery stopnie (+ 6° do 7° Cels.), w nocy jednak spadała do trzydziestu dwu stopni (zero Cels.). Słońce zakreślało łuk niezmiernie wydłużony na niebie. W południe podnosiło się zaledwie na kilka stopni, znikało zaś na jedenaście godzin na dobę.

W nocy z 16 na 17 września ukazał się pierwszy szron na morzu. Były to małe odosobnione kryształki, podobne raczej do śniegu. Można było zauważyć wtedy zjawisko, już stwierdzone przez słynnego żeglarza Scoresby, że śnieg ten miał własność uśmierzania kołysania fal na podobieństwo tłuszczu, rozlewanego przez marynarzy dla chwilowego uspokojenia morza. Szron ten skupiłby się na wodzie spokojnej, lecz falowanie morza rozdzielało go ustawicznie.

Jasper Hobson śledził bacznie tę pierwszą oznakę zamarzania powierzchni morskiej. Wiedział dobrze, że wystarczyłoby dwudziestu czterech godzin, żeby zlodowaciała warstwa dosięgła grubości trzech cali, grubości wytrzymującej ciężar człowieka. Przypuszczał zatem, że wyspa Victoria unieruchomioną zostanie przez okowy lodowe.

Dotychczas jednak dzień psuł pracę nocy i jeżeli wyspę zatrzymywały w godzinach nocnych większe kawały lodu, podczas dnia kawały te rozpryskiwały się lub tajały, a prąd dość wartki unosił wyspę swobodnie.

To też wyspa posuwała się stale ku północy.

21 września, od chwili porównania dnia z nocą godziny dzienne zaczęły się zmniejszać stopniowo. Zima nadchodziła, lecz bez pośpiechu. Wyspa Victoria znajdowała się wtedy poza siedemdziesiątym równoleżnikiem i wtedy też po raz pierwszy uległa ruchowi obrotowemu o ćwierć obrotu.

Porucznik Hobson zasepił się wielce. Natura sama odkrywała tajemnicę, której strzegł tak pilnie. W istocie, na skutek tego ruchu, główne strony nieba uległy zmianie. Przyładek Bathurst był obecnie

na wschodzie. Słońce, księżyc, gwiazdy ani wschodziły, ani zachodziły w dawnych stronach horyzontu, niepodobieństwem więc było, żeby ludzie tak spostrzegawczy jak Mac Nap, Raë, Marbre i inni, nie zauważyli tej zmiany.

Ku wielkiemu zadowoleniu jednak Jasper Hobson'a dzielni ci ludzie zdawali się nie zwracać uwagi na to osobliwe zjawisko. Zresztą zmiana ta nie była znaczna, a częste mgły utrudniały wszelkie spostrzeżenia.

Ale ruch obrotowy wyspy zdawał się zbiegać z jej ruchem przenośnym. Wyspa Victoria bowiem od tej chwili płynęła z szybkością mili na godzinę, dążąc coraz bardziej na północ. Jasper Hobson nie rozpaczał, gdyż oddawać się rozpaczy nie było zgodne z jego usposobieniem, lecz zdawał sobie sprawę, że jest zgubiony, i wzywał zimy, a raczej mrozu z głębi swej duszy.

Wreszcie temperatura spadła. Z 23 na 24 września upadł śnieg obfity, a pokrywając sobą krę, powiększał jej grubość. Powoli zaczęło się tworzyć pole lodowe. Wyspa rozbijała je jeszcze swym naporem, lecz napór ten stawał się coraz bezsilniejszy wobec potęgi mrozu. Morze zamarało naokoło wyspy i jak daleko mógł sięgnąć wzrok.

27 września Jasper Hobson mógł stwierdzić, że wyspa Victoria, w okowach olbrzymiego pola lodowego od dwu dni stała na miejscu pod 177°22' długości i 77°57' szerokości geograficznej – o przeszło sześćset mil od stałego lądu!



Spis treści

[Nienazwany](#)